

AKTOR ROBERT GONERA GOŚCIEM BIBLIOTEKI



- Pół roku czekaliśmy na to, aby znowu gościć państwa w naszych progach.

Tak dyrektor Biblioteki Publicznej w Ostrzeszowie - Dorota Owczarczak - przywitała osoby uczestniczące w spotkaniu ze znanym aktorem - Robertem Gonera. Po długiej przerwie, spowodowanej koronawirusem, wreszcie zapaliło się „zielone światło” dla kulturalnych spotkań i ostrzeszowska biblioteka z tego skwapliwie skorzystała. To „nowe otwarcie” wypadło całkiem okazale, o co już zadbał sam aktor, odtwórca głównych ról m.in. w „Samowolce”, „Długu”, „Glinie” czy w serialach „M jak miłość” i „Korona królów”.

Przez znaczącą część spotkania aktor snuł opowieści o swojej drodze życiowej, zaczynającej się na ukochanej prowincji - w Twardogórze, poprzez zawodową karierę, obfitującą w suk-

cesy, ale też bolesne upadki. Gdzieś między tymi opowieściami przemycone zostały strzępy życia osobistego, wcale nie tak szczęśliwego i spełnionego, jak z pozoru mogłoby się wydawać.

W tej wędrowce poprzez meandry życia, teatru i filmu towarzyszył gościowi jego wrocławski przyjaciel, pochodzący z Ostrzeszowa, Maciej Żurawski.

MŁODOŚĆ - PROWINCJI CZAR

Dzieciństwo spędził w Twardogórze i chyba stąd właśnie jego miłość do gwiazdy, do małych miasteczek i małych społeczności. Te dobre skojarzenia z prowincją nie tylko wynikają z miejsca pochodzenia aktora, ale także jego ojca, który pochodził z Giżyc. Potem przyszła młodość i „ogólniak” w Oleśnicy, o którym (i tamtejszych profesorach) wypowiadał się z wielkim szacunkiem. Tam też zaczął pisać, założył pierwszy kabaret artystyczny „Struś”, który okazał się wielkim lokalnym sukcesem. Przez to podjął decyzję, by tworzyć, aby zostać reżyserem. Po drodze była fascynacja muzyką punk i balladami granymi na gitarze. Próbkę tego talentu p. Robert zaprezentował pod koniec spotkania. Oleśnica słynęła wówczas z wojsk lotniczych, a lotnictwo to jego wielka pasja, którą po latach może wreszcie realizować. Inną fascynacją było kino i chyba właśnie tam, oglądając dzieła mistrzów, postanowił zostać reżyserem. Kino miało wtedy czar i smak - tak na ekranie, jak

też pośród reżyserów. Ale najpierw, mając ledwie 17 lat, poszedł na kierunek aktorski, który miał być tylko „drogą” do reżyserii. Tak się jednak nie stało i „ugrzął” w aktorstwie.

AKTORSTWO - BARDZIEJ ZABAWA NIŻ PASJA

- *Mój stosunek do aktorstwa jest nonszalancki, ale jednocześnie świadomy. To nie była moja pasja, a i do dziś jest bardziej zabawą - mówił w trakcie spotkania.*

Za swój filmowy debiut uważa „Marcowe migdały” w reżyserii S. Piwowarskiego. Mile wspomina, i samego reżysera, i kolegów, którzy tak jak on wtedy debiutowali. W filmówce poznał też Jolanę Fraczyńską (aktorkę znaną dziś m.in. z „Leśniczówki”). Pod koniec studiów przyszła na świat dziewczyna (córka Nastazja). Wówczas to świadomie postawił na aktorstwo jako na zawód dający większe możliwości utrzymania rodziny. Po latach córka zrealizowała jego plany i... została reżyserem. Związek z Fraczyńską nie przetrwał próby czasu. Do miłości zresztą aktor nie miał szczęścia, bowiem ożenił się ponownie i... znów rozwiódł. Grał za to „na potęgę”, zdobywając uznanie i nagrodę Orła na festiwalu w Gdyni. Równie dobrze działał się w teatrze. Trafił do Teatru Polskiego we Wrocławiu, gdzie miał szczęście zagrać u wybitnych reżyserów, jak Jarocki, Grzegorzewski, Krauze...

- *To były spotkania, których teraz nie mam. To była praca na szczytach - mówił aktor, nie kryjąc tęsknoty za tym prawdziwie artystycznym okresem swego życia.*

Spotkanie obfitowało w wiele ciekawych opowiadań, a nawet zabawnych anegdotów dotyczących tamtych lat i zdarzeń, nie tylko aktorskich. Również politycznych, bowiem do młodości aktor był człowiekiem mocno zbudowanym i zaangażowanym - działał w strukturach dawnej opozycji, przez jakiś czas był nawet wywiadowcą Kornela Morawieckiego.

Gonerze udało się zresztą spełnić reżyserkie marzenie. Został m.in. drugim reżyserem filmu robionego przez B. Lindę „Sezon na leszczu”. Bardzo dobrze ocenia samego Lindę i jego reżyserką rękę. Potem przyszedł czas na seriale telewizyjne. Rozpoczęło się od „M jak miłość”...

- *Skala popularności tego mojego Jacka Mileckiego przerosła oczekiwania wszystkich - wyznał aktor. Ale telewizja stała się też jego nieszczęściem i przyczynkiem wielu niefortunnych zdarzeń, mających wpływ na prywatne życie aktora.*

JESTEM SZCZĘŚLIWYM CZŁOWIEKIEM

Jak przystało na spotkanie z artystą, również miłośnicy talentu aktora mieli okazję z nim porozmawiać. Były pytania o ulubioną literaturę, o prowadzone przez niego kino w rodzinnej Twardogórze, o lotnictwo... Nie mogło zabraknąć też pytań o najbliższe artystyczne plany, których nie brakuje. Ale nawet jeśli projekty te nie dojdą do skutku, to i tak aktor nie będzie rozczarowany.

- *Strasznie długo męczyłem się przekonywaniem siebie, jakim jestem fajnym aktorem, kumplem, człowiekiem, a gdy okazywało się, że wcale takim fajnym nie jestem, „uderzałem w gaz”... Od pięciu lat nie piję, do tego zwyciężyłem pewną dolegliwość, która mnie przez pół roku męczyła i naprawił jestem szczęśliwym człowiekiem - i mówił Robert Gonera pod koniec spotkania w Ostrzeszowie.*

Dziś to szczęście odnajduje w małej miejscowości w Wielkopolsce, gdzie znalazł swój zaciszny kątek. To kolejny przykład ulegania „czarowi prowincji”.

Nie wszystkim dziecięce marzenia udało mu się spełnić, ale - jak przyznaje - spotkania z Dalajlamą czy rozmowa z papieżem to coś, o czym nawet nie mógł marzyć.

K. Juszcak

Marek Makiela
Poznański Klub Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Ostrzeszowskiej

Listy więźniów obozów koncentracyjnych do rodzin



W prymitywnych kamiennych barakach dawnej fabryki prochu, 18 kilometrów na północny-zachód od Monachium, pod miejscowością Dachau, 22 marca 1933 roku założono pierwszy obóz koncentracyjny (Konzentrationslager Dachau). Powstał on z rozkazu ówczesnego komisarza policji w Monachium, Heinricha Himmlera, i był modelem (Musterlager) dla późniejszych obozów zakładanych w czasie II wojny światowej prawie w całej Europie.

Wiosną 1940 roku trafili tam pierwsi mieszkańcy ziemi ostrzeszowskiej, których deportowano bez żadnych wyroków sądowych, a tylko na podstawie decyzji lokalnych władz administracyjnych i policyjnych. Bardzo pomocni w typowaniu osób do wywózki byli młodzi Niemcy zamieszkujący Ostrzeszów i okolice, a także „życzliwi” sąsiedzi - Polacy.

Więźniów politycznych, a do takich należeli ostrzeszowianie, zamierzano w obozie na podstawie rozporządzenia prezydenta Rzeszy „o ochronie narodu i państwa”, nazywając ich uwięzionymi ochronnie tzw. Schutzhaftlinge. Aresztowanemu nie dawano z reguły żadnej możliwości obrony, najczęściej też go w ogóle nie przesłuchiwano. Podstawą aresztowania był rozkaz uwięzienia ochronnego tzw. Schutzhaftbefehl (dany osobnik zagraża istnieniu i bezpieczeństwu narodu i państwa niemieckiego, bo jest podejrzany o prowadzenie wrogiej działalności - tu wymieniano rzekomo popełnione

czyny), co pozwala przypuszczać, że na wolności będzie kontynuował wrogą działalność przeciwko państwu niemieckiemu.

Gdy nasi rodacy znaleźli się za kolczastymi drutami KL Dachau, zostali odizolowani od otoczenia i poddani systemowemu niszczeniu, aż do całkowitej zagłady. Jedyną formą kontaktu stały się listy lub kartki pocztowe, później paczki żywnościowe. Obie formy paczki poddany był jednak ścisłemu regulaminowi, który sprowadzał się do następujących zasad.

REGULAMIN KORESPONDENCJI WIĘZIENNEJ

W każdym bloku obozowym powoływano pisarza, który w języku niemieckim pisał listy w imieniu więźnia. Aresztant dyktował treść i składał własnoręczny podpis. Każdy więzień mógł wysłać co miesiąc dwa listy

lub dwie karty pocztowe i tyle samo otrzymać. Ta zasada była jednak zmieniana i np. w podobozie Gusen w połowie 1941 roku ograniczono korespondencję do jednego listu lub kartki pocztowej miesięcznie. Regulamin zastrzegł, że listy lub karty pocztowe pisane do więźnia muszą być czytelne, napisane atramentem na liniowanym papierze i zawierać 15 wierszy na jednej stronie. Dopuszczalna była koperta do listu tylko w standardowych rozmiarach i bez wewnętrznej podszewki. W kopercie zaś można było załączyć 5 znaczków o nominalnej 12 pf. Wszystko inne było zabronione, a dołączone do listu załączniki podlegały zajęciu przez cenzurę. Kartka pocztowa mogła zawierać tylko 10 wierszy. Na końcu blankietu listowego i na kopercie, wydrukowanych dla potrzeb obozu Mauthausen, jak i jego podobozów, znalazło się ostrzeżenie dla nadawcy, że gdy nie będą spełnione wymienione zasady, to korespondencja zostanie zniszczona.

Komenda obozu - jak widać - nie bawiła się w zwrot korespondencji do nadawcy, ale natychmiast niszczyła listy. Takiego zastrzeżenia nie wprowadziła komendantura w KL Dachau.

Listy do i od więźniów podlegały cenzurze, której ślad w postaci stempla znajdował się na każdym blankiecie (nie. zdjęcie). Niespodziewanie myśli zamazywano lub starannie wycinano. Za nieodpowiednio napisany list można było mieć raport karny lub otrzymać zakaz korespondencji. Zakwestionowane listy włączano do akt więźnia.

Dozwolone były przekazy pieniężne, z czego skrzętnie korzystały rodziny. Kwoty przekazu były zróżnicowane. Zdarzały się przekazy 5-markowe, ale były też i wyższe 15-markowe, a nawet 30-markowe. Narzuconą przez regulamin górną granicą było 40 R M (Reichsmark) miesięcznie.

Przesyłając listy, kartki czy pieniądze należało podawać dokładne dane odbiorcy: imię i nazwisko więźnia, jego datę urodzenia, numer więzienny oraz numer bloku i izby blokowej. W przypadku podania błędnego adresu przesyłka była zwracana lub niszczona.

Dopuszczalne były też przesyłki gazet, ale tylko tych, które były zamówione za pośrednictwem poczty obozowej. Poszczególne obozy same ustalały listę gazet czy czasopism do kolportażu, ale zakup gazet ograniczał się przeważnie do „Nationalsozialistische Zeitungen”.

Początkowo więźniom nie wolno było przysłać jakichkolwiek paczek. W regulaminie widniał punkt informujący, że w obozie jest kantyna i wszystko można w niej kupić. Po 1942 roku obozowe komendy dopuszczały możliwość przysyłania paczek, ale o ograniczonej wadze. Paczki żywnościowe stanowiły ogromną pomoc dla wygłodniałych więźniów. Drogocenne przedmioty były rekwirowane.

Na końcu regulaminu pisania listów znalazły się dwa ważne punkty: pierwszy, że kierowanie wniosków do komendy obozu o zwolnienie więźnia jest bezcelowe; drugi, że uzyskanie

pozwolenia na rozmowy lub odwiedziny są niemożliwe.

TREŚĆ KORESPONDENCJI OD WIĘZNI

Na skierowany na początku bieżącego roku apel do rodzin byłych więźniów KL Dachau otrzymaliśmy znaczną ilość listów od byłych więźniów. Najwięcej, bo aż 36 - udostępniła synowa Rocha Czemplika, 19 listów napisał Teodor Makiela, a 11 - Jan Błaszczak. Zakończyło się też kilka listów od Romana Czacherskiego, Ludwika Kluziaka i Rocha Kinastowskiego. Osobną grupę listów stanowi pakiet korespondencji Jana Kurzawy do narzeczonej Heleny Fluder. Część tych listów wysyłanych było z KL Dachau i Gusen, a kilka z KL Hamburg-Neunegamme, dokąd był translokowany Jan Kurzawa.

Listy są sztampowe, niewiele mówią o życiu obozowym, ale choć zafałszowywały rzeczywistość, to dla więźniów narażonych na śmierć z głodu i wycieńczenia, wystawionych na nieustanne szykany, odgrywały istotną rolę w walce o przetrwanie, dawały nadzieję.

Treść listów sprowadzała się zwykle do bardzo ogólnego komunikatu o stanie zdrowia więźnia, prawie zawsze określanego jako dobry. Np. w liście Jana Błaszczaka do żony znalazł się passus: *Dotychczas jestem - Bogu dzięki - zdrowy i takiego samego - Bogu dziękuję - życząc samego - Bogu zdrowia i zdrowia Tobie.*

Z kolei Roman Czacherski w liście z 8 września 1940 roku pisał tak:

*Kochana żono z dziećmi!
Jak dotąd [jestem] zdrowy i życzę Wam z całego [serca] tego samego. Otrzymałem Wasz list z 2.09 i pieniądze w kwocie 5 marek. Z ucieśnieniem oczekuję momentu, kiedy znów się z Wami zobaczę. A teraz już kończę w nadziei, że doczekam się wkrótce znaku życia od Was. Przesyłam moc serdecznych pozdrowień i ucałowań.
Wasz ojciec i mąż - Czacherski Roman*

Dokończenie na str. 16.

